

„ZABUGOLE”

Tak nas wtedy nazywano. Zjawiliśmy się na Ziemi Wrzesińskiej w 1945 roku - w czasie, gdy trwały jeszcze działania wojenne. Nasz transport „repatriantów” z dawnych kresów wschodnich II Rzeczypospolitej został zorganizowany przez P.U.R. (Państwowy Urząd Repatriacyjny).

na. Zrobiono to w sposób bardzo prosty. Na miejskim targowisku wylapywano ukraińskich chłopów z zaprzęgiem konnym i zmuszano ich do przewiezienia Polaków do Dubna. Każda polska rodzina otrzymała jedną furmankę - małą wołyńską, zaprzężoną w dwa małe konie. Ten środek



„Zabugole” - urzędnicy przed gminą w Katerburgu - pow Krzemieniec. Rok 1938.

Pod koniec marca rozpoczęliśmy daleką podróż w nieznaną. Ludzie zakwalifikowani do tego transportu pochodzili z Krzemieńca i powiatu krzemienieckiego. Wyekspedowanie pociągu z samego Krzemieńca było wtedy niemożliwe, gdyż tor kolejowy dochodzący do tego miasta był uszkodzony w wyniku działań wojennych.

Nowe władze krzemienieckie, ustanowione przez Sowieców, zostały zobowiązane do zorganizowania dla polskich repatriantów transportu z Krzemieńca do Dub-

na. Zrobiono to w sposób bardzo prosty. Na miejskim targowisku wylapywano ukraińskich chłopów z zaprzęgiem konnym i zmuszano ich do przewiezienia Polaków do Dubna. Każda polska rodzina otrzymała jedną furmankę - małą wołyńską, zaprzężoną w dwa małe konie. Ten środek lokomocji oczywiście bardzo drastycznie ograniczył ilość dobytku jaki można było zabrać ze sobą. W pierwszym rzędzie były to zapasy żywności na długą podróż i na przeżycie w nowym miejscu osiedlenia. Zabierano kartofle, mąkę, kaszę i po kilka worków suszonego chleba - sucharów. Resztę dobytku stanowiła pościel, ubrania, parę garnków, jakieś krzeselko... i to wszystko. Nie był to jak widać wielki majątek.

Do Dubna jechaliśmy cały dzień (40 km), a na dworzec dotarliśmy już w nocy. Po drodze, już późnym wieczorem, gdy karawana furmanek przejeżdżała obok lasu - nieopodal w owym lesie rozległa się strzelanina z broni maszynowej. Ktoś krzyknął, że to napad oddziałów UPA na polski transport. Powstał popłoch. Niektórzy mężczyźni zmuszali ukraińskich furmanów do jazdy galopem, by wyrwać się jak najszybciej z zagrożonego rejonu. Zdarzały się przypadki, że powożący Ukraińcy uciekali, pozostawiając swój zaprzęg na pastwę losu. Nasza kawalkada rozciągnęła się, a między poszczególnymi wozami lub grupami wozów powstały duże przerwy. A trzeba tu dodać, że nasz transport nie miał żadnej ochrony, ani wojskowej, ani milicyjnej. Na szczęście skończyło się tylko na strachu. Okazało się bowiem, że odgłosy strzelaniny pochodziły z nocnych ćwiczeń wojsk sowieckich.

W późnych godzinach wieczornych dotarliśmy na dworzec dubieński, gdzie wylądowaliśmy nasze toboły na niezadaszonej rampie kolejowej. Miejsce to, jeszcze przez tydzień służyło nam za mieszkanie. Tyle bowiem czasu trzeba było czekać na podstawienie pociągu. Była to druga połowa marca, a więc w czasie gdy pogoda nie sprzyjała jak wiadomo koczowisku pod gołym niebem.

Ze swoich tobołów budowano coś w rodzaju gniazd, nad którymi rozciągano dach z koca, kapy czy serwety. (Wtedy jeszcze nie znane były folie plastikowe). W środku budowano legowisko do spania. Tylko matkom z małymi dziećmi zapewniono nocleg pod dachem. Na dworcu przeznaczono na ten cel duży pokój, w którym na podłodze rozścielono słomę. Matki jak kwoki mościły się w tym słomianym barłogu układając swoje niesforne pisklęta do snu. Dzieciom, ta niezwykła sytuacja bardzo się podobała, i ani im w głowie było spanie.

Po tygodniu na rampę podstawiono skład wagonów towarowych. W każdym wagonie lokowano po około 5 do 8 rodzin.

Nasz transport był jednym z pierwszych (jeśli nie pierwszy) z „repatriantami” zza Buga. Oznajmiono nam, że mamy jechać na tzw. Ziemię Zachodnie. Trasa wiodła przez Zamość, Warszawę do Poznania. Po drodze dołączono do naszego składu jeszcze trzy wagony z „repatriantami” z Wileńszczyzny i Polesia. W tym zestawie jechała zatem niemal cała reprezentacja kresów wschodnich od Wołynia do Wileńszczyzny. Podróż trwała dwa tygodnie. Obfitowała w częste postoje trwające nawet po kilka dni. Spowodowane one były zabieraniem lokomotywy na jakieś pilniejsze potrzeby - głównie dla wojska. Dotarliśmy do Poznania. Tam dowiedzieliśmy się, że nastąpiło zatrzymanie frontu, a na Ziemiach Zachodnich trwają jeszcze zacięte walki.

Na boczniczy w Poznaniu, po dłuższym postoju zakomunikowano nam decyzję o cofnięciu naszego transportu do Wrześni. Po skomplikowanej podróży, zrzuceniem losu, znaleźliśmy się we Wrześni.

Naszego przyjazdu na wrzesiński dworzec nie ominęła przygoda zapowiadająca się bardzo dramatycznie. Przyjechalśmy pod wieczór, gdy już zaczęło się ściemniać. Niektórzy zaczęli wylądowywać swoje toboły na rampę. Nagle rozległ się przeraźliwy ryk syren. Z dala dolatywał pulsujący odgłos nalotu samolotowego. Ktoś donośnym głosem wydawał polecenia, by nie wysiadać z wagonów. W górę wystrzeliły wiązki światła z reflektorów przeciwlotniczych, które przeczesując niebo wyszukiwały niemieckich samolotów lecących na dużej wysokości. Z kilku kierunków rozległy się charakterystyczne, jęklive wystrzały z armatek przeciwlotniczych. Wszystko to działo się niemal nad naszymi głowami. Po jakimś czasie odgłos warkotu silników samolotowych zaczął słabnąć, aż w końcu zniknął gdzieś w bezkresnych czeluściach nocnych ciemności. Umilkły armatki, poga-

sły reflektory, a my resztę nocy spędziliśmy w wagonach.

Rano otrzymaliśmy polecenie, by nasze rzeczy wyładować na rampę. Rozpoczęła się długa procedura załatwiania formalności związanych z naszym osiedleniem. Niewiele było takich rzeczy, które mogłyby nas zirytować. Do cierpliwego czekania byliśmy przyzwyczajeni. Podczas długiej podróży np. nigdy nie udało się uzyskać odpowiedzi na - bądź co bądź - frapujące nas ciągłe pytania: „Dlaczego zatrzymaliśmy się?”, „Czy długo będziemy stać?”, „Dokąd nas dalej powiozą?” itp. Zadawaliśmy je sobie sami, nie oczekując odpowiedzi. Teraz też wiedzieliśmy, że formalności muszą potrwać. Możliwa była również zmiana decyzji. Mogli nam przecież kazać z powrotem załadować się do wagonów i powieźć gdzieś dalej. Jedyne co naprawdę niepokoiło ludzi, to kończące się zapasy żywności. Podczas podróży, o nasze wyżywienie nikt się nie martwił. Wiele rodzin nie miało po prostu już co jeść. Trzeba tu dodać, że do pierwszego transportu zgłosiły się głównie te rodziny, które musiały uciekać ze swoich domostw przed bandami UPA. Najczęściej tylko z podręcznym bagażem. Ludzie ciężko doświadczeni, w sytuacjach, gdy niebezpieczeństwo nie zagrażało życiu, nauczyli się filozofii, która sprowadza się mniej więcej do tego: czekać cierpliwie a sprawa się sama w końcu wyjaśni. Tak też się stało i w tym przypadku.

Na rampę niespodziewanie zaczęły podjeżdżać konne wozy. Nikt na nie nawet nie zwracał uwagi. Z sąsiedniego wagonu dolatywała piękna melodia śpiewana przez jakąś młodą dziewczynę:

...Daleko, daleko
Za Bugiem, za rzeką
Jest piękna kraina
Kraj rodzinny matki mej...

Ktoś zakomunikował decyzję, że zostaniemy osiedleni tu, we wrzesińskim powiecie, w opuszczonych poniemieckich gospodarstwach. Kazano ładować się na wozy i

rozwieziono nas w różnych kierunkach: do Sędziwojewa, Otocznej, Grzybowa, Węgierek Sobiesierni, Szemborowa i innych wsi.

W nowym miejscu naszego zamieszkania, właśnie po raz pierwszy usłyszeliśmy to określenie: „zabugole” przyjechali. Tu nastąpiło zderzenie bardzo różniących się od siebie społeczności - wołyńiaków i poznaniaków. Spotkały się dwie różne kultury, obyczaje, zachowania a nawet języki. Wołyńacy mówili śpiewną, kresową gwarą, a „poznanioki zaś godali po swoim” - gwarą wielkopolską. Dochodziło do nieporozumień. Nigdzie nie lubią „innych”. Powodów, że nas tu nie lubiano było kilka, ale najważniejszy to ten, że wkroczyliśmy tu jak nieproszeni goście. Zajmowane przez nas poniemieckie gospodarstwa - zdaniem miejscowych - im się należały. Nazywano nas ruskimi lub kacapami. My też nie byliśmy dłużni. Nasze przewisko brzmiało oczywiście „pyry”.

Poleszycy, których dołączono do naszego transportu przywieźli ze sobą inwentarz żywy i narzędzia rolnicze. Poznaniacy mieli nie lada uciechę oglądając te prymitywne narzędzia: pług drewniany, który miał tylko lemiesz z żelaza, brony drewniane (w tym również żelaz-), furmanki plecione z wikliny, które przy wielkich wozach poznańskich zwanych helami - wyglądały jak dziecięce zabawki itp. Koniki kresowiaków były maleńkie, bułanej maści z czarną przęgą na grzbiecie. A krowy - małe i do tego czerwone. Ta maść w Wielkopolsce była w ogóle nieznaną.

Podслуchałem kiedyś rozmowę dwóch miejscowych gospodarzy. „ - Skund ta dzicz przyjechała? To nie sum Poloki. Po jakimu uni mówium? - Ano. Wej. To sum bolszewiki. Wszak widzisz, że u nich nawet krowy sum czerwone”. Ci z kresów też mieli się czemu dziwić. Wiele rzeczy tu było innych. Przede wszystkim ukształtowanie terenu. Jakby jakimś wielkim walcem ktoś wyrównał ziemię. Równina jak okiem sięgnąć i całkowity brak lasów. A tam w Krzemień-

cu?... Krainę tą nazywano Szwajcarią Wołyńską z racji swego piękna: jarów, gór, dolin, rzek i obfitości lasów. W Poznańskiem nie znano wielu upraw powszechnych na Wołniu jak np. gryki, prosa, konopii itd. Tu posługiwano się innymi jednostkami wagi: funty i cetnary, tam pudy i metry. Ziemię odmierzano w morgach (1/4 ha), na Wołniu zaś w dziesięcinach (nieco więcej niż 1 ha). Trudno było w niektórych sprawach się porozumieć. Różnic było bardzo dużo. Dochodziło do zadrażnień.

scą pochodzenia. Odbył się pierwszy ślub „pyry” z „zabugolką”. Teściowie - chcąc nie chcąc - też musieli się zaakceptować. Urodził się pierwszy wnuk. Szybko uświadomiono sobie bezsens wzajemnych niechęci. Niesnaski - ujawnione na początku w bardzo ostrej formie - skończyły się niemal nagle, jak nożem uciął. Wyzwisk - którymi tak chętnie się częstowano - szybko zaniechano.

Wydarzenia te miały miejsce 50 lat temu. Wielu ludzi, którzy pamiętają tamte



Nauczycielka i dzieci przed szkołą w Katerburgu - rok 1936

Mimo tych animozji, trzeba było prowadzić normalne życie: pracować, posyłać dzieci do szkoły, iść w niedzielę na mszę do kościoła itd. itd. Nastąpił okres wzajemnego przyglądania się sobie. To, co rodzice mówili w domach, w prywatnych rozmowach - dzieci przenosiły na podwórka, na place zabaw, do klas szkolnych, na ulicę. Nawet niektórzy nauczyciele nie byli wolni od stronniczości czy nawet zacietrzewienia.

Na szczęście ten okres „walki” trwał krótko. W przełamywaniu lodów bardzo znaczącą i chyba dominującą rolę odegrała młodzież. Ta dojrzewająca i już dojrzała. Ładne dziewczyny i przystojni chłopcy byli po obu stronach. Miłość przy wyborze partnera, nie posługuje się kryterium miej-

czas, jeszcze żyje. Młodsze pokolenia pewnie nie wiedzą co oznacza i skąd się wzięło słowo „zabugole”. Życie poszło naprzód. Czasem tylko, krzątająca się w kuchni babcia nuci cichutko piosenkę przywiezioną z dalekich, rodzinnych stron:

...Daleko, daleko...

P.S.

W wyniku wyżej zaproponowanych wspomnień może uda się ustalić ile zorganizowano przez P.U.R. w 1945 roku transportów z „repatriantami” z Krzemieńca, jaka liczba ludzi wyjechała w poszczególnych transportach, w jakich terminach one się odbywały oraz jakie miasta i wsie (powiaty) były ich docelowym miejscem osiedlenia.